Rozmaitości

Dnia 4. Stycznia **Ner. 1.** **Roku 1840.**

TRUP PRZY KAPLICY Ś. ANNY.

WYPADEK KRYMINALNY

Podług urzędowych aktów i listów skréślony.

Na wystającéj odnodze pasma gór, które pograniczną prowincyję pewnego niemieckiego królestwa przecinają, jest mała kaplica, na cześć Świętéj Anny wzniesiona. Oprócz w dzień uroczysty nadmienionéj patronki, w którym liczni pielgrzymi spieszą do tego cudownego obrazu, rzadko kto odwidza to święte miejsce. Sami tylko włościanie przechodząc tamtędy, odmawiają pobożnie pacierze. Nawet dla gości zwidzających poblizkie kąpiele, pomiędzy któremi kąpiel w Hilgenbergu pierwsze miejsce zajmuje, te gęstym lasem okryte góry nie nastręczają miłego widoku.

Dnia 26go sierpnia 1816 roku, pewien włościanin z poblizkiéj wioski, puścił się zrana wązką ścieżką do téj kaplicy. Synek jego szedł przed nim o kilkadziesiąt kroków. Zaledwie chłopczyk ten przybiegł przed kaplicę, już zdyszany zwrócił się ku swemu ojcu, i trwożliwym krzykiem starał się przywołać go w to miejsce. Zdziwiony starzec przysporzył kroku, i stanąwszy na otwartém miejscu, za piérwszym rzutem oka postrzegł przed kaplicą rozciągniętego trupa. Krwią zbryzgane, na pół obnażone, tylko w koszuli, jasnych nankinowych spodniach i w butach z ostrogami, leżało na stopniach tego kościółka martwe ciało jakiegoś znakomitego, młodego mężczyzny. Na jego prawéj ręce, która na piersiach spoczywała, błyszczał duży, złoty sygnet.

Starzec postanowiwszy zostać przy trupie, posłał swojego synka do najbliższéj włości dla oznajmienia o tym wypadku. Zdziwił on się niemało, iż na miejscu w około trupa, śladów krwie, nie znalazł. »Jeżeli popełniono zabójstwo«, myślił sobie, »nie zdaje się, aby na tém miejscu wykonaném zostało.« Lekkie, widocznie zatarte ślady wiodły na bok w krzaki, pośród których się szczyt stroméj, wysokiéj góry *Raubstein* wznosił. Widać tam jeszcze ruiny dawno zburzonego zamku, od którego prosty człowiek, jak od siedliska duchów stroni. To było powodem, iż włościanin wstrzymał się od dalszego śledzenia, aż pokąd powiatowy sędzia pokoju, lékarz z chyrurgiem i przełożeni z najbliższych włości nie nadeszli. Nie zbywało także na osobach, które tam ciekawość sprowadziła.

Obejrzano trupa. O ratunku nie było już mowy, albowiem na obnażonych częściach ciała, już się zgnilizna rzuciła. Osoby znający się na rzeczy, wkrótce źródło śmierci odkryły. Pod koszulą umarłego znaleziono széroką, jedwabną, mieniącego się koloru opaskę z udartego kawałka kobiécego szalu, którym starannie piérś miał obwiązaną. Pod tą opaską leżała na lewym boku chustka zwinięta i skrzepłą krwią przesiąknięta, głęboką ranę pokrywająca. Jak się późniéj z sekcyi okazało, rana ta szła prosto w serce i jak się domyśliwano, była długim, ostrym nożem zadana.

Z resztą żołądek i wnętrzności zmarłego okazywały, iż przed samą śmiercią, znaczną ilość wina wypił, co dało pochop do wniosku, że w pijaństwie skonał.

Za poradą starego włościanina, już podczas sekcyi wdarło się kilku z widzów na wierzchołek Raubstejnu. Niebawem oznajmiono z tamtąd sędziemu, iż pośród gruzów na téj skale zabójstwo popełniono.

Sędzia, lékarze i przełożeni włości, udali się na oznaczone miejsce. Zastano krwią zbryzgane kamienie. Na ziemi leżały jeszcze pozostałe szczątki niedawnéj uczty: okruszyny chleba, okrawki i pestki z owoców; nakoniec na dnie stłuczonéj butelki był jeszcze ostatek słodkiego, wytrawionego wina.

Za wskazaniem włościanina, odkryto także ślady stóp, od zwalisk aż do kaplicy na piasku pozostawione. Jednakże trudno je było rozeznać od wydeptanego śladu osób, które z ciekawości przed rozpoczęciem jeszcze śledztwa tą samą pod górę szły drogą.

Widoczniéj okazywały się ślady w innym, od kaplicy zwróconym kierunku, w połamanych gałęziach i podeptanych chróstach pośród chaszczów, które zwaliska te otaczają. W tém miejscu opodal starego muru znaleziono drugi, oddarty kawał nadmienionego szalu, a cokolwiek głębiéj w krzakach, znaleziono wkrótce długą, na małym krzaku wiszącą, z duńskiéj skórki, ładnie zrobioną i całkiem nową damską rękawiczkę, która była kilką ciemnémi plamami nasiąknięta, a w których lekarz krople krwie rozeznawał. Z natężoną uwagą i z niemałém przekonaniem, że jeszcze ważniejsze pojawią się odkrycia, szedł sąd śledczy ścieżką, którą połamane gałęzie wskazywały. Jednakże nic więcéj nie odkryto. Na ubitéj ku Hilgenbergowi wiodącéj drodze, zginęła wszelka poszlaka.

W nadziei, że się przecież jaki człowiek zdarzy, który zabitego poznać może, nie wzbraniano ciekawemu, tłumnie cisnącemu się ludowi przystępu. Lecz nadaremnie, nikt go nie poznał. Z zapadającym zmrokiem zawieziono trupa na cmentarz najbliższéj wioski Hofstede, i pochowano.

Na drugi dzień przyszedł do sędziego dzierzawca z niedalekiéj pośród lasu leżącéj gospody, który widział ciało zabitego w miasteczku Hofstede, już w trumnę włożone. Zeznał on, że poznał w nim swojego gościa, który dnia 24go sierpnia w jego domu przenocował, a na drugi dzień zrana w dalszą podróż się puścił. Dzierzawca ten, nie pytał gościa o imię i stan, ani też zkąd lub dokąd idzie, a to dla tego, iż mniemał że ten pan był porucznikiem z obcych wójsk, które podówczas w téj okolicy załogą stały. Albowiem w prostocie swego serca dodał, chociaż on przyszedł pieszo do mego domu, jednakże był w butach z ostrogami; a żona moja utrzymuje, że zna dobrze poruczników; oni zwykli nawet w butach z ostrogami kłaść się do łóżka.

Sędzia otrzymawszy tak niedostateczną od gospodnika wiadomość, kazał mu jak najdokładniéj opisać ubiór, w którym widział tego nieznajomego, i zapytał, ażali przy nim jakowych kosztownych rzeczy nie postrzegł. Gospodnik zeznał, że widział u niego złoty zégarek z łańcuszkiem i kluczykiem, tudzież safijanowy, czerwony pugilares i jedwabną, zielonego koloru sakiewkę, i że podróżny, za nim się udał na spoczynek, dał mu te wszystkie rzeczy do schowania, a zrana je odebrał. Nakoniec nadmienił o dwóch pierścieniach, z których jeden był sygnetem, a drugi obrączką. W sygnecie, który za pomocą amputacyi z palca trupowi zdjęto, poznał gospodnik na piérwszy rzut oka pierścień swojego gościa.

Zeznanie to, które samo przez się bynajmniéj nie wyświéciło wypadku, sędzia pokoju przesłał do nadprokuratora sądu ziemiańskiego, który podówczas w Hajnburgu, jako środkowém, ludném mieście, siedzibę swą założył.

Pogłoska o tym wypadku, przez osoby, które trupa zwidzały, rozeszła się po całéj okolicy i stała się przedmiotem powszechnego udziału; jednakże jak to bywa, niedostatecznie zawiadomieni rozsiéwacze dodali do wypadków, przed urzędem zeznanych, tak wiele innych wymyślonych szczegółów, iż przez nie zwierzchność coraz bardziéj w błąd wprowadzoną została. I tak podług tych niezaręczonych zeznań, szukała policyja poszlaki prawie tylko pośród osób, które się do kąpieli zjechały. W niektórych miejscach biegała pogłoska, że także jakąś płci żeńskiéj osobę zamordować zamyślano, ale takowa szczęśliwie zabójstwa uszła; nakoniec słychać było o pewnym w górach zabłąkanym oficerze, który dając żebrakowi jałmużnę, śmierć od niego w nagrodę otrzymał.

Wszystkie pogłoski te zamiast wyświécenia rzeczy, jeszcze ją bardziéj zagmatwały. Nawet gazetami obwieszczone opisanie osoby zabitego, nie przyniosło pożądanego skutku.

Nakoniec prezydent policyi obwodowego miasta R*** przysłał do nadprokuratora list w miesiącu grudniu. Niejaki pan Brejsach, mniemany rodem z prowincyi D***, który przez długi czas jako prywatny człowiek tamże przebywał, zwidzał częstokroć rzeczone góry, i że z ostatniéj wycieczki w miesiącu sierpniu już nie powrócił. Właścicielka domu niebytnością jego stroskana, zgłosiła się w téj mierze jeszcze w miesiącu wrześniu do policyi, ale takowa nie widziała podówczas żadnego powodu do mieszania się w jéj stosunki prywatne. Teraz zaś przeczytawszy uwiadomienie publiczne, wybadała dokładniéj rzeczoną niewiastę, a podług zeznania jéj znaleziony człowiek zabity i »pan Brejsach«, zdawali się być jedną i tą samą osobą. Nadmienioną niewiastę przysłano do Hajnburga, a z nią i starego weterana, który panu Brejsach w R*** usługiwał. Inwalid postrzegłszy suknie i buty zabitego, zeznał z pewnością, że to były te same, które zostając w służbie, nieraz miał w swoim ręku.

Nawet w opisaniu osoby poznawali świadkowie wszystkie rysy pana Brejsach; z własnego

natchnienia nadmienili o złotym zégarku i dwóch pierścieniach, które tenże zawsze przy sobie nosił. A chociaż nigdy dokładnie nie przypatrzyli się tym rzeczom, jednakże za ukazaniem sygnetu, przyznali, że to jest ten sam niezawodnie; co do drugiego pierścienia, zgadzali się zupełnie z zeznaniem gospodnika, że był prostą, złotą, niby ślubną obrączką.

Po upływie tak długiego czasu niepodobna było ukazać im trupa; jakoż nadmienić tu wypada, iż go żaden z późniejszych świadków nie widział.

Pan Brejsach podług zeznania właścicielki domu i kilku innych osób, których w K*** badano, prowadził wprawdzie odosobnione, ale nie bardzo skromne życie. Opowiadano o wdawaniu się jego z niemoralnémi osobami tamtejszego teatru, a mianowicie o poufnéj zażyłości z pewną baletniczką. Stosunek ten został nagle przerwany, i nie było można dokładnie się dowiedzieć, dokąd nadmieniona tancerka po opuszczeniu teatru się udała.

Jakkolwiek zeznania te wiele z początku obiecywały, jednakże mało przyczyniły się do wyświecenia całéj rzeczy. Któżto był ten pan Brejsach? Nazwisko to w całéj prowincyi nie było znane, nie znajdowało się w żadnym spisie rodowodów szlacheckich; nawet herb na sygnecie, który antykwaryjuszom i heraldykom pokazywano, żadnemu z nich nie był wiadomy. Tym sposobem cała sprawa znowu usnęła; nazwisko i herb zaczęto uważać za wynalazek awanturnika, na których podówczas w skutek niedawno ukończonéj wojny, w tameczn éj okolicy bynajmniéj nie zbywało.

Węzeł wątpliwości, którego ani sąd ani policyja rozstrzygnąć nie mogły, rozwiązał przypadek. W pewném prywatném towarzystwie zgadano się o nazwisku »Brejsach«, które podówczas tak zwiérzchność jak i publiczność z wielu stron zajmowało. Podczas gdy wszyscy obecni w tém się zgadzali, że w niemieckich krajach nié masz familii tegoż nazwiska, pewien exdyplomatyk, biegły heraldyk i genealog zrobił uwagę, że co do rzeczonego nazwiska, może tylko w pisowni zachodzi jaka omyłka, że jemu, który dość dokładnie zna wszystkie szlacheckie domy niemieckie, pewna familija de Preussach jest wiadomą, i że on sam herb hrabiowskiéj linii tego domu posiada.

Rada sądu ziemiańskiego, któréj w rozpoczetém badaniu poruczono urząd sędzi instrukcyjnego, a któremu pewien przyjaciel doniósł o téj uwadze, wezwała niezwłocznie heraldyka o pokazanie nadmienionego herbu. Heraldyk napuszony ważnością, jaką przypisywano jego obszérnym wiadomościom, przyniósł natychmiast herb, który prócz pomnożonych ozdób godności hrabiowskiéj, ukazał te same oznakę, jaka na pierścieniu zabitego się znajdowała. Poczém heraldyk otworzywszy swój w wielkiém poszanowaniu zachowany herbarz, znalazł pod głoską P. familiję de Preussach, opisaną z całym jéj rodowodem i posiadłościami.

Jeden ze szczepów téj familii, był w prowincyi D*** osiadły, z któréj, jak nam wiadomo, miał i zabity Brejsach pochodzić.

Nadprokurator rozpoczął niezwłocznie korespondencyję z rządem téj prowincyi, i w krótkim czasie zgłosił się niejaki pan Ferdynand Preussach listownie. Wywiódł się on, że jest drugim synem będącego już w wieku barona Anzelma de Preussach, właściciela majoratu w ***. Starszy zaś syn, Herman, udał się przed dwoma laty za granicę, i dotychczas nie doniósł familii, w którém miejscu przebywa.

»Wszystko« — donosił Ferdynand de Preussach, »mówi zatém, że znaleziony człowiek zabity, jest moim bratem. Całéj familii bardzo wiele na tém zależy dowiedzieć się o tém z pewnością. Na barona Hermana, mojego brata, podług prawa piérworodności, spada cały majątek naszego ojca; po śmierci jego jestem ja następcą jego; albowiem z rozłączonego od lat kilku małżeństwa mego brata, nié masz żadnego męzkiego potomka, jak tylko jedna córka. Nie zaniedbam stawić się osobiście przed sądem, i użyję wszelkich sposobów, które do wyjaśnienia tego smutnego wypadku posłużyć mogą.«

W miesiącu styczniu 1817 roku, przybył Ferdynand do Hajnburga. Przeczytał z uwagą akta inkwizycyjne, i przypatrzywszy się dokładnie pierścieniowi, oświadczył z zupełném przekonaniem, że zabity Herman, jest jego bratem. Poczém zaniósł do sądu prośbę, by wydał w téj mierze wiary godne świadectwo, któreby mu do majoratu drogę utorować zdołało; dodając, iż wiekiem pochylony ojciec niedługo już pożyje.

Jakkolwiek sąd o świadectwie Ferdynanda bynajmniéj nie powątpiéwał, jednakże przed nim nie taił, że zeznanie tak blizkiego krewnego, mającego udział w puściźnie po nieboszczyku, niedostatecznym jest dla ustaw cywilnych dowodem, by na nim oprzéć mógł urzędowe świadectwo śmierci. Ferdynand przyznał w téj mierze sądowi słuszność, gdyż podobne zdania, słyszał także w innych miejscach od uczonych prawników.

Z tém większą gorliwością starał się przyspieszyć śledztwo téj krwawéj zbrodni, by tym sposobem, na bezpośredniéj drodze osiągnąć mógł pewność, kto jest właściwie tym zabitym człowiekiem.

Sąd poznał wprawdzie, że nie tak braterska

miłość, jak raczéj stosunki majątkowe zabiegami Ferdynanda kierują; jednakże przyrzekłszy mu wszelką prawną pomoc doradzał, aby z pośród rzeczników trybunału obrał sobie pełnomocnika, i za dojściem pewnéj poszlaki o winowajcy, formalnie jako prywatny oskarzyciel wystąpił. Ferdynand usłuchał téj porady.

Adwokat Senkenberg, jego pełnomocnik, któremuśmy winni najważniejsze data tego wypadku, był człowiekiem bardzo oględnym i gorliwym w swojéj czynności. Będąc rodem z tegoż obwodu, i zostając w stosunkach z rozmaitemi osobami, przytém obeznany dokładnie z miejscowością, był najzdatniejszym do ukończenia sprawy swego klienta. Oprócz tego ważność wypadku, równie jak i pomyślne okoliczności majątkowe klienta, dodawały mu do téj pracy ochoty.

Z wystąpieniem Ferdynanda, zaczęły jedne po drugiich rozwidniać się poszlaki, które bez jego pomocy, podobnoby ani na jaśnią wydobyte, ani tak dokładnie udowodnione nie były.

Ferdynand nie mając już nic do czynienia w Hajmburgu, pojechał do R***, jako ostatniego miejsca pobytu swego brata. Po usunięciu niektórych przeszkód, przejrzano w obecności jego i spisano inwentarz z wszystkich pozostałych ruchomości po nieboszczyku, które były w depozycie złożone. Ferdynand przeglądał z troskliwością wszystkie pisma, które na ostatnie chwile brata niejakie światło rzucić mogły; żaden świstek papiéru nie uszedł bacznéj jego uwagi. Aż oto wpadła mu ćwiartka w rece, w kształcie listu złożona; napis był wprawdzie oddarty, ale treść zdawała się mieć wielkie znaczenie.

Byłyto następujące, kobiécą ręką skréślone słowa, które w charakterystycznéj pisowni co do joty tu przyłączamy:

»Ja vous accorde cette entrevue, pourvu qu'elle Soye décisive. Vos mennaçes ne pourront jamais m'épouvanter, jé saurrais me défendre moyennant les armes, lesquelles me pretteront l'honneur et la vertu. Voici ma dernière. La coursbondance segrette ne peut se continuer.« Bl. ce. 21. Juill.

Z powodu wynalezienia tego listu, kazał Preussach ułożyć akt urzędowy, i tak dokument sam jakoteż akt urzędowy przedłożył sędzi instrukcyjnemu. Był on zupełnie tego przekonania, że ten list ma jakowaś styczność z nieodgadnionym wypadkiem, jednakże u sądu nie znalazł wiary; z tego powodu w obszérnéj rozprawie o przedmiocie śledztwa i całym toku dotychczasowego działania, oświadczył nadprokuratorowi otwarcie swoje zdanie:

»Sąd w uprzedzeniu swojém«, rzekł, »zajmował się dotychczas tylko myślą rabunku. Ja nigdy temu wiary dać nie mogę. Owszém, utrzymuję śmiało, że to, co w téj sprawie ma niejaki pozór rabunku, jest istotném mamidłem, albo téż dziełem trzeciéj ręki, nie téj, która nieszczęśliwemu śmiertelny cios zadała. Ta ręka, ta zabójcza ręka — w czém się pewnie nie mylę — była ręką niewieścią. — W doniesieniach policyjnych znajdują się niektóre miejsca nadmieniające, że w owym czasie jakąś niewiastę w poblizkości kaplicy widziano; sędzia pokoju przy oglądaniu trupa, znalazł dwa kawały szalu i rękawiczkę damską; nadmienione fakta uważał sąd tylko li pod względem wyśledzenia drugiéj osoby, która także paść miała ofiarą, a ponieważ takowa się nie znalazła, więc je w niepamięć puścił.«

»A gdyby téż niewiasta była sprawczynią tego zabójstwa? Charakter listu z dnia 21. lipca jest niezawodnie niewieści. List mówi dokładnie o stanowczéj schadzce; otóż ta schadzka odbyła się tam przy kaplicy, i stała się stanowczą, śmiertelną dla mego nieszczęśliwego brata.«

»Zmysłowość, rozpasana namiętność, stanowiły odznaczający rys charakteru mojego z innych względów zacnego brata. Te narowy były powodem do rozłączenia krótko trwającego małżeństwa jego. W R*** biega pogłoska o jego zażyłości z pewną baletniczką, która razem z nim prawie w tym samym czasie z tamtąd zniknęła. Należałoby od wiary godnych ludzi zasiągnąć o téj tancerce wiadomości w okolicy, w któréj tę zbrodnię popełniono.«

Nadprokurator znalazł niektóre z powyżéj przytoczonych zarzutów nie bez zasady, zaczęto dokładniéj zgłębiać dawniejsze doniesienia policyi, a po wybadaniu niektórych, w krótkim czasie przepytanych osób, następujące wypadki wydobyto na jaśnią:

Ściągały się one na dzień 24. sierpnia, w którymto dniu zrana nieboszczyk się z gospody w lesie oddalił. Dzień ten tkwił szczególniéj z tego względu świadkom w pamięci, ponieważ w nim obchodzono imieniny pewnéj ulubionéj panującego domu księżnéj, która w tameczńéj okolicy podówczas przebywała. Pod wieczór tego dnia, zwykł był lud na okolicznych wzgórzach w znak radości ognie rozniecać.

Pewien dwudziesto-letni, lecz na rozumie bardzo upośledzony chłopiec z szwajcarskiéj osady, która w górach miała swe siedziby, celem nazbierania chrustu na roznieceenie owych ogni, puścił się był po południu na górę Raubstejn. Słońce już było wysoko, gdy postrzegł niedaleko siebie pośród chaszczów dwoje ludzi idących: to jest mężczyznę, który jak strzelec był ubrany, i dziéwczynę w mieniącéj się sukni, sło-

mianym kapeluszu i z parasolikiem w ręku. Dokładniéj nie mógł chłopiec opisać sukni; dostrzeżono bowiem, że kolorów rozeznawać nie umiał.

Tych dwoje ludzi postrzegłszy chłopca, jakby przelęknieni w chaszcze się skryli. Po niejakiéj chwili postrzegł ich tenże znowu, ale już bardzo wysoko, przy samym szczycie Raubstejnu. Mężczyzna — tak zeznał świadek — zdawał się ścigać dziewczynę. Jesta, których do stwierdzenia swych wyrazów używał, kazały się domyślać, że między témi osobami jakaś kłótnia zaszła.

Dostrzegacz ten patrząc za nimi w górę, pośliznął się i na stroméj pochyłości w dół się stoczył. Gdy się potém na nogi zerwał i w górę spojrzał, już tych dwojga ludzi nie było na oném miejscu.

Takie było całe zeznanie tego niedołężnego świadka.

Większéj wagi były zeznania cérulika z Szlingen i jego żony. Szlingen jest osada złożona z kilku chat, które z rozsianémi dworkami Hilgenbergu granicza.

Już się miało znacznie z południa — tak opowiadali ci ludzie — gdy do nich przyszła jakaś dama w przepysznym ubiorze, wysokiego wzrostu, szczupła, pięknéj i ujmującéj twarzy, ale blada i zadyszana, mająca ciemne, utrefione włosy. Prosiła cérulika, by jéj opatrzył u prawéj ręki dłoń zranioną, którą w białą, skrwawioną chustkę obwinęła. Cérulik odwinawszy chustkę, postrzegł széroką ale nie głęboką ranę, i przyłożył do niéj plaster, a żona jego dała jéj czystą chustkę. Dama wcisnąwszy jéj za to dukata w rękę, pożegnała się śpieszno i odeszła.

Małżeństwo to zdziwieni i ciekawością zdjęci cobyto była za jedna, puścili się w trop za nią. Przy płocie ogrodowym spotkali jakiegoś wiekiem podeszłego człowieka, w ubiorze rębaczów góralskich; z nim odeszła nieznajoma dama manowcem, który do Hilgenbergu prowadził.

Nie trwało chwili, a starzec szybkim krokiem był już z powrotem. Żona cérulika zapytała go, azali zna tę damę. »Co? damę?« odrzekł starzec zapyrzony. — »A Bóg ją tam zna!« To rzekłszy, puścił się daléj w drogę.

Jeden sąsiad, który widział tę damę jeszcze nim weszła do cérulika, i podsłuchał rozmowy jéj z towarzyszem, opowiadał w téj mierze dziwne rzeczy. Z płaczem i trwogą miała ona objawiać swą obawę; starzec zaś miał wyraźnie mówić do niéj te słowa:

»Ach, mój Boże! niech się téż pani uspokoi. Wszakże płacz mu życia nie wróci. Z mojéj strony możesz być pani bezpieczną; ja jak grób milczéć będę.«

Żona cérulika przypomniała sobie cokolwiek ubiór damy. Zeznała, iż dama miała na sobie jedwabną zielonego koloru suknię, czarną gazową chustkę, kapelusz słomiany z kwiatami i parasolik jedwabny.

Sąsiad, którego podobnież zaraz potém badano, potwierdził wszystkie te zeznania; zresztą o niczém więcéj nie wiedział.

Preussach był bardzo zadowolony treścią tego badania. »Rzecz ta wyjaśni się!« rzekł do Senkenberga. »Rękawiczka jest bardzo ważnym dowodem. Widoczna, że osoba zraniona ją zgubiła; jestto rękawiczka z prawéj ręki. Spodziéwam się, że i samę rękę znajdziemy!« —

Gorliwy Senkenberg znowu policyją do działania pobudził. Wystarał się opisania twarzy zniknionéj tancerki; zgadzało się ono, jak w podobnych przypadkach zwykle się zdarza, dość dokładnie z opisaniem przez cérulika i jego żonę uczynioném. Nakoniec powiodło się także wyśledzić miejsce pobytu baletniczki. Atoli — za dochodzeniem miejscowéj zwiérzchności, która się do tego kroku jedynie na prośbę Senkenberga skłoniła, wywiodła się baletniczka z podejrzenia niewątpliwém świadectwem. Paszporty i świadectwa jéj były w jak największym porządku. Wyjechała ona z R*** jeszcze w połowie miesiąca lipca, i od tego czasu nigdy już w téj okolicy nie postała.

Niepomyślność ta nie uspokoiła Senkenberga. Jeżeli nie ta (myślił sobie) być może, że jaka inna była téj zbrodni sprawczynią. W krótkim czasie ajenci policyi wyśledzili inną osobę, która w moralnéj wartości jeszcze na niższym stopniu niż tancerka stała; była to niejaka arfenistka. Nazwiemy ją Cecyliją, gdyż niejedno miała nazwisko. — Zarzuciła ona od niejakiego czasu swój kunszt, którym jeszcze w R***, gdzie była ulubiona, ciągle się zajmowała; a to z powodu otrętwienia prawéj ręki. — Wypadek ten zdawał się być godnym uwagi. Przytém była wysokiego wzrostu, poważna i brunetka; znamiona dostateczne do ściągnienia na siebie podejrzenia.

Cecylija chodziła po wsiach z pewnym osławionym graczem, który zostawał pod dozorem zwiérzchności; przeto prośba Senkenberga, aby ją wybadano, nie znalazła żadnéj trudności.

Śledztwo to, lubo podobnież bezskuteczne, jak niektóre poprzednicze, stało się przezto godném uwagi, iż wyjaśniło pewną okoliczność, która dotychczas uszła była bacznego oka sądu. Po niejakich zapytaniach, z których nic pewnego się niedowiedziano, żądał Senkenberg ostatniéj próby, to jest doświadczyć, azali się rękawiczka na jéj rękę nie przyda. Cecylija uradowana, że jéj nadarza się sposobność pokazania mężczyznom swojéj okrągłéj, pulchnéj rączki,

przychyliła się bez wszelkiéj obawy do żądania, i zaczęła z układnością wielkiéj damy wdziéwać rękawiczkę na rękę; lecz nadaremnie — rękawiczka była za ciasną. Sąd był w obawie, aby nie zniszczyła *corpus delicti.* Lecz przy ostrożném zdejmowaniu odwinęła się lewa strona, i z zadziwieniem postrzeżono na samym kraju wyciśnięte nazwisko: **Wilh. T. ffe.** Środkowych głosek rozeznać było niepodobna.

Tym sposobem Cecylije wypuszczono na wolność, a całą uwagę zwrócono na pół odgadnięte nazwisko. Domyśliwano się wprawdzie, że nazwisko to nie do właścicielki, lecz do fabrykanta należy, jednakże mniemano, iż do dalszego odkrycia posłużyć może. Na rozkaz nadprokuratora oddano rękawiczkę poufnemu urzędnikowi policyi sądowéj, dla zasięgnienia pod względem nazwiska dokładniejszego objaśnienia pomiędzy kupcami.

W kilka dni potém, odesłano do sądu dziwne uwiadomienie. Za nadejściem uroczystości Śtéj Anny, proboszcz w Hoffstede, jako dozorca kaplicy na wzgórzu, w nadziei licznych darów w dzień odpustu, otworzył dawnym zwyczajem skrzynkę dla wypróżnienia z niéj jałmużny, która w przeszłym roku wpłynęła. Tą razą była w puszcze nadzwyczajna jałmużna. To jest: zielonego koloru, wilgotna i spleśniała sakiewka, zdawająca się, jak gdyby już dawno w niéj leżała. Zawiérała ona znaczną ilość śrébrnéj monety, a nawet kilka dukatów. Na sakiewce przymocowany był kawałek pargaminu, na którym wielkim, niezgrabnym, umyślnie zmienionym charakterem napisane były ołówkiem następujące słowa:

»Pochowajcie trupa na chrześcijańsko-katolickim cmentarzu. Bóg wam za to nagrodzi.«

Proboszcz odesłał tę sakiewkę z pieniądzmi do sądu. Przypomniano sobie o zeznaniu gospodnika, który będąc przywołanym zapewnił, że sakiewka ta jest zupełnie podobna do téj, którą widział u swego gościa.

»Ja zaraz przeczuwałem« — rzekł Preussach, dowiedziawszy się o tém odkryciu, — »że w tym wypadku nie zachodzi rabunek; żaden rabuś nie porzuca złota i śrébra. Jakaś inna namiętność, może zazdrość albo zawziętość z powodu wzgardzonéj, niewzajemnéj miłości, kiérowała tym morderczym zamachem; żal nastąpił po dokonanéj zbrodni, i ta sama osoba starała się, aby po chrześcijańsku pochowano ofiarę. Niezawodnie ona to napisała te słowa w tym zamiarze, by je razem z trupem znaleziono!«

W przeciągu tego czasu odebrał Preussach listy od swéj rodziny, aby wracał do domu, i dalszy wywód sprawy Senkenbergowi poruczył. Dla udowodnienia śmierci Hermana, wypadało nakoniec przedsięwziąć stanowcze kroki; albowiem stary baron coraz widoczniéj upadał na siłach i zbliżał się do grobu. Doradzano Ferdynandowi, by osobiście udał się do stolicy, ponieważ w środku władzy centralnéj prędzéj spodziéwać się było można uchylenia niektórych formalności, niż na prowincyi, gdzie je z największą przestrzegano ścisłością. Przytém małżonka Hermana, mieszkająca przy rodzicach w stolicy od czasu rozłączenia się z swoim mężem, nie była jeszcze zawiadomiona o tym wypadku; a że na mocy aktu separacyi, małżonka i córka Hermana, zamiast dotychczasowéj rocznéj pensyi na przypadek zgonu jego, miała wejść w układy z właścicielem majoratu względem wydzielenia dla niéj cząstki kapitału; więc koniecznie o tym wypadku zawiadomić ją wypadało. Nareszcie zbliżenie się ze strony Preussacha do familii żony nieboszczyka, mogło dla téj sprawy zjednać jéj ojca, starego pułkownika Siegsfeld, mającego wielki wpływ u rządu; wiadomo było, że pułkownik ten, w nagrodę położonych zasług, był wielce poważany u dworu.

To zbliżenie się po raz piérwszy do familii, z którą od lat trzech, od czasu rozłączenia się, baron Preussach nie miał żadnéj styczności, było dla niego bardzo nieprzyjemném; zwłaszcza, że on sam nigdy nie zostawał z bratową w przyjacielskich stosunkach, a nieugięty umysł pułkownika, który niegdyś jego brata, starającego się usilnie przeprosić swoje małżonkę, stanowczo z swego domu odprawił, obraził dotkliwie dumną familije Preussachów. — Jednakże nie było innego wyboru, a Ferdynand udał się w miesiącu sierpniu 1817 do odległéj stolicy.

Zaraz po swém przybyciu przedstawił się pułkownikowi Siegsfeld. Pułkownik i jego małżonka — córka Albertyna wyjechała była na spacer — przyjęli gościa z oziębłością, dającą poznać, jak mocno byli tém niespodzianém odwidzeniem zdziwieni. Atoli za piérwszém oświadczeniem Ferdynanda, zmienili względem niego swoje postępowanie, gdyż wypadek, o którym usłyszeli, wielką ciekawość w nich obudził. Zacny pułkownik i tkliwa jego małżonka przyjęli smutną wieść z owym udziałem, który w szlachetnych i ukształconych ludziach wszelkie nieprzyjaźne czucie przytłumia. Pułkownik przyrzekł panu Preussach wszelkie przyczynienie się, jakie tylko było w jego mocy, a Preussach zaspokojony, zabiérał się właśnie do pożegnania, gdy oznajmiono, że powóz Albertyny na dziedziniec zajechał. Tym sposobem Ferdynand nie mógł się już oddalić, i chętnie skłonił się do prośby pułkownikowéj, by na ten raz nie spominał przed córką o tym strasznym

wypadku. Matka sama podjęła się nadmienić jéj o tém przy wydarzonéj sposobności z oszczędzeniem boleśnego uczucia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Lwowianina, pisma krajowego wydawanego w połączeniu prac miłośników nauk, zeszyt siódmy, w tych dniach opuścił prasę. Autor dzieła: »*Amerykanka w Polszcze*« p. A. Tyczyński, przyrzekł także do Lwowianina nadsełać swoje artykuły.

W Petersburgu wyszedł przekład na język rossyjski wschodniego poematu Aleksandra Chodzki: *Derar*. — Aleksander Chodzko, niegdyś uczeń uniwersytetu wileńskiego, późniéj instytutu języków wschodnich w Petersburgu, jest teraz konzulem rossyjskim w Reszcie (w prowincyi perskiéj Ghilanie.)

Rodzina księcia Sasko-Koburgskiego, składa się z osób nader utalentowanych, i tak np. Małżonek Donny Maryi królowéj Portugalskiéj, jest doskonałym sztycharzem; król Belgijski dobrym skrzypkiem; książę Albrecht (przyszły małżonek królowéj Wiktoryi) pisze wiersze bardzo ujmujące, a brat jego książę Ernest komponuje muzykę do tychże poezyj.

Złote i srebrne naczynia królów angielskich. Dziennik angielski *Globe*, wartość sreber królewskich podaje na 1,700,000 funtów szterlingów, czyli 17 milijonów złr. mon. konw. W królewskim skarbcu jest z czasów Jerzego IV., złoty serwis na 130 osób. Niektóre z tych naczyń zdobyto na hiszpańskiéj *armadzie*, inne pochodzą z Indyjów, Birmy i Chin. Znajdziesz pomiędzy niémi dwa talerze, z których jeden do Karola XII króla Szwedzkiego, a drugi do króla Awy należał. Do najcelniejszych przedmiotów, któremi podczas ostatnich lat czterdziestu królewski skarbiec zbogacono, należą: Paw' z klejnotów, wartości 30,000 funtów szterl. (3 milijony złr. mon. konw.); głowa tygrysa, którego język jest z lanego złota, a zęby są z istotnego kryształu; złote sztućce stołowe, wartości 8000 gwineów; i 25 tuzinów talerzy, każdy po 25 gwineów. Przepyszne, dla Jerzego IV sporządzone śrebrne, w kształcie wanny naczynie do ochładzania, jest tak przecudnéj roboty, iż artysta nad samém przyozdobieniem jego dwa lata pracował. Dwie otyłych osób zmieściłoby się wygodnie w téj wannie, w któréj za Jerzego IV podczas uczt etykietalnych rozmaite wina na *desert* ochładzano.

Państwo Burnu. Mało jeszcze znane jest potężne państwo Burnu, w Afryce Środkowéj, na Południe z Mandarą, a na Wschód z jeziorem Czad graniczące, bardzo rozległe, wyspami i chmurami ptastwa okryte, a przytém w ryby bardzo obfitujące. Gorąco w tym kraju jest nieznośne, w miesiącu lipcu nieustanne dészcze odwilżają kraj cały, w październiku są żniwa, po których zima nastaje. Północno-wschodnie wiatry oczyszczają powietrze, i wytępiają zaraźliwą i zgubną febrę wilgotnéj pory roku. Kraj ten jest bardzo zaludniony i 13 wielkich miast liczy. Mieszkańcy jego mają wysokie czoło, széroką twarz, spłaszczone murzyńskie nosy, białe zęby; są lekkomyślni, zgodliwi i bojaźliwi, jednakże do zemsty skłonni. Odzież ich w miarę majątku składa się z dwóch lub trzech koszul, bogaci mężczyźni noszą na głowie niebieskie czapki. Burnowie rzadko mają więcéj jak dwie lub trzy żony; wolno się im z niémi rozłączyć, kiedy się podoba, lecz w tym razie posag zwrócić należy. Dziéwczyny idą za mąż zwykle w 14tym albo 15tym roku, i są niezawodnie najposluszniejszémi żonami na całym świecie. Do mężów swoich tylko na klęczkach zbliżać się mogą, a gdy mówią z obcym mężczyzną, wtedy twarz sobie zasłaniają. Do nich należą ponajwiększéj części najuciążliwsze roboty, jak np. uprawa roli. Kraj ten obfituje w bydło, a wół jest zwierzem, na którym wszelkie przewożą ciężary, i na którym kobiéty jeżdżą. Nieraz żona lub córka bogatego człowieka objuczywszy jednego wołu ciężarem, na drugim sama na targ jedzie. Jest ona wtedy w bursztyn, śrébrne pierścienie, korale i t. p. przepysznie ustrojona. Ociężały jéj wierzchowiec, na którym jak mężczyzna siedząc, za nos nim powodzi, jest kobiercem okryty.

Wczesna zima w Rossyi. Już od wielu lat nie pamiętają w Petersburgu tak rychłéj zimy, jak tą razą. Dnia 9go listopada, z powodu wielkich mas lodowatych, musiano na placu Śgo Izaaka zdjąć most łyżwowy, a komunikacyja pomiędzy miastem i częściami wysp, która się z początku łodziami odbywała, była zupełnie przez lód zatamowaną. W porcie Kronsztadzkim był lód tak gruby, iż po nim bezpiecznie chodzić można było.

Angielskie państwo w Indyjach Wschodnich, należy bezprzecznie do najsławniejszych zjawień w dziejach świata. Ogromne to państwo wzrosło w przeciągu jednego wieku z mało znaczącéj kupieckiéj osady. Liczy teraz 100 milijonów ludności, która angielskiemu berłu bezpośrednio, a drugą prawie takąż samę ilość, która pośrednio mu podlega. Obejmuje przestrzeń 50,000 geograficznych mil kwadratowych; rozciągłość jego od Północy ku Południowi jest takaż sama, jak od Torneo do Messyny, a między ostatecznémi granicami, pomiędzy Wschodem i Zachodem, jest tyleż stopni długości, jak pomiędzy Lizboną i Smoleńskiem. Z tąd widać, iż Indyi Wschodnich tak w statystycznym jak i w klimatycznym względzie z żadnym krajem naszéj części świata porównać nie można, jak tylko z całą Europą. W największéj karności utrzymywane wojsko, które przed kilką laty w czasie wojny z Birmanami liczyło 400,000 żołnierza, broni granic angielskich Indyi Wschodnich, a dochody roczne z tego kraju przewyższają więcéj niż o połowę dochody monarchii rossyjskiéj. Miasto Kalkuta ma przeszło milijon mieszkańca; inne wielkie miasta, jako: Delhi, Benares, Luknów i Puhna mają trzykroć do pięćkroć sto tysięcy mieszkańca, a Madras i Bombaj są znaczniejsze miasta handlowe, niż kiedyś były Wenecyja i Genua w najświetniejszéj epoce swojéj. — I jacyżto są zdobywcy i władcy tego rozległego państwa, które jakby laską czarodziejską dotknięte, na stałym lądzie Azyi powstało, i które z ogromnémi monarchijami Aleksandra, Tamerlana i Nadir-Szacha zmierzyć się może? Na odległéj wyspie na zachodzie, w ciemnéj, wązkiéj ulicy, w któréj przez gęste wapory z węgli kamiennych rzadko tylko promienie słoneczne przedrzéć się mogą, ma swoję siedzibę towarzystwo kupców spokojnych. Ci są zdobywcami Indyi, ci władcami téj ogromnéj przestrzeni kraju.

Widowiska Kartera przedstawiane dzikiémi zwiérzętami. Zdaje się, iż manija do widowisk przedstawianych z dzikiemi, a przez ludzi oswojonémi zwiérzętami, z Ameryki do Anglii się przeniosła, gdzie jak wiadomo, Van Amburgh z menażeryją swoją przed niedawnym czasem występował, a teraz niejaki pan Karter nierównie liczniejszym zbiorem takich potworów w teatrze Astléj, w Londynie się popisuje. Dziennik *Standard* z dnia 16. p. m. donosi o tem

co następuje: Pan Karter wyprawił wczoraj piérwsze publiczne przedstawienie swojémi dzikiémi źwierzętami. Jużeśmy nadmieniali o próbie, którą w przeszłym tygodniu pod tym względem odbyto. Próba wczorajsza przewyższyła tamtę w każdéj mierze. Pan Karter wykonywa nad dzikiémi, jego menażeryję składającémi źwiérzętami taką władzę, iż takowa nawet stronników pana Van Amburga niezawodnie w zadziwienie wprawia. Niechcąc stanowić o zaletach każdego z tych obu mężów w szczególności, dołączamy jedynie tę uwagę, iż przedstawienia pana Kartera dla oka widza bardziéj nadzwyczajnémi się wydają, niż przedstawienia jego poprzednika; są one dramatyczniejsze, a tém samém do widowiska bardziéj zastósowane. By pan Karter z swojémi lwami i tygrysami w najwłaściwszym sposobie wystąpił przed publicznością, napisano sztukę pod nazwą: Afgar. Jestto pewien rodzaj egipsko-indyjsko-arabskiego dramatu, w którym dla rozrywki zdziwionéj publiczności: krokodyle, żebry., strusie, konie, i inne swojskie tudzież dzikie źwiérzęta, jedne z drugiémi na scenę występują. Z początku daje się widzićć puszcza, pośród któréj pan Karter snem ujęty spoczywa; lampart postrzegłszy go, rzuca się nań ze skały; obadwaj walczą z sobą, aż nakoniec pan Karter, jak się spodziéwać można, zwycięzcą zostaje. Poczém w rydwanie, do którego są lwy zaprzągnięte, jedzie przez górę, a przybywszy do drugiéj przez samych lwów, tygrysów, lampartów i panterów zamieszkałéj puszczy, po odbytéj z témi okropnémi mieszkańcami jaskiń zaciętéj walce, przyprowadza do tego stopnia, iż je koleino jednego po drugim pokonywa i oswaja. Publiczność na tém widowisku przedzielona jest od widowni żelazną kratą.

Lekarstwo na ukąszenie od psa wściekłego. Gazeta Hamburska z dnia 21go października roku bieżącego zawiera następujące doniesienie. »Rossyjska agronomiczna Gazeta podaje do wiadomości nowy i jak zapewnia niezawodny środek przeciw ukąszeniu od psa wściekłego. Jestto proszek wysuszonéj rośliny *Komonika łapkowa. (Lotus ornithopodioides)* rosnącéj w lasach i na łąkach, która do tego użytku, zebrana z łodygami, strączkami i kwiatami, suszy się w miejscu zacienionem, trze na proch, przesiéwa i przechowuje w naczyniu śklannem dobrze zakorkowaném. W potrzebie jéj użycia, wymywa się ranę zimną wodą i daje ukąszonéj osobie stołową łyżkę tego proszku, wypić z jakimkolwiek napojem. Drugą taką dozę daje się przy nadejściu nowiu księżyca, gdy ukąszenie nastąpiło w przeciągu jego pełni i na odwrót. Okazać już miało doświadczenie, że nigdy więcéj nad dwie dozy nie były potrzebne. Tym także sposobem ratują się od skutków ukąszenia źwierzęta, z tą tylko różnicą, że np. koniowi daje się zamiast jednéj, trzy pełne łyżki stołowe rzeczonego proszku. Środek ten wynalazł już dawno niejaki Piotr (Peter), ale go utrzymywał w tajemnicy, aż pewny oficer od jazdy, nazwiskiem Passek, odkrył w używanym przez Piotra proszku, kilka ziarn nasion, posiał je i tym sposobem przyszedł do poznania używanéj rośliny.«

Spełnione przeczucie. Nieraz jest mowa o przeczuciu swojego zgonu, jakie już miewał niejeden mąż, postawiony w towarzystwie na wysokim stopniu. Ostatnie chwile marszałka Bessières są w téj mierze bardzo ważnym dowodem: »Dnia 30go kwietnia 1813 (opowiada owczesny adjutant marszałka, pan de Baudus, w swoich niedawno wydanych: »*Etudes sur Napoléon*«,) ces. francuzka główna kwatéra spędziła całą noc w Weissenfeldzie. Tamże stał kwatérą także marszałek, który całą jazdą dowodził. Drugiego dnia zrana przyszedłszy do niego na śniadanie, zastałem go smutnym, i długo nie mogłem go nakłonić, aby się czém posilił; na moje nalégania odpowiadał mi zawsze, że nie jest głodny. Przedstawiłem mu, iż stoimy naprzeciw nieprzyjaciela, że w ciągu dnia do zaspokojenia głodu nie będzie czasu. Marszałek ulegając nareszcie mojéj namowie, rzekł: »W saméj rzeczy, jeżeli dzisiaj rano ugodzi we mnie kula działowa, nie życzę sobie, aby mnie z czczym żołądkiem zastała.« — Wstawszy od stołu, dał mi marszałek klucz do swojéj szkatułki, i rzekł: »Wyszukaj mi z łaski swojéj listy od mojéj żony.« — Gdy mu je dałem, w ogień je rzucił. Aż do tego dnia z troskliwością chował je Bessières w swojéj szkatułce. Podobnież i pani marszałkowa późniéj mnie o tém zapewniała, dodając, iż mąż jéj oznajmił kilku osobom przy pożegnaniu, że z téj wyprawy już nie wróci. Césarz dosiadł konia, marszałek udał się za nim. Twarz jego była blada i taką posępnością okryta, iż się na widok jéj zdziwiłem. Pamiętając, co marszałek mówił do mnie zrana, rzekłem do jednego z mych towarzyszy, jeżeli dzisiaj przyjdzie do bitwy, sądzę, że marszałek polegnie. Wkrótce bitwa się rozpoczęła. Marszałek Nej wtargnął z swoją piechotą do włości Rippach; Bessières pospieszył do rozpoznania wąwozu, z którego nieprzyjaciel ustąpił; zamiérzał on przeprawić się przezeń z swém wojskiem. Dostawszy się na wzgórze nad włością panujące, ujrzał się po prawéj ręce od gościńca Lipskiego w obliczu działobitni, którą właśnie nieprzyjaciel dla strychowania gościńca ustawił. Piérwsza kula, którą z niéj posłano, urwała głowę pewnemu wachmistrzowi z gwardyi polskich chevauxlежerów; podoficer ten pełnił przez lat kilka u marszałka służbę ordynansową. Poniesiona ta strata zasmuciła księcia, który cwałem z tego miejsca pogonił. Rozpoznawszy jednak stanowisko Prusaków przez czas niejaki, wrócił w towarzystwie kapitana Bourjoly, swojego Mameluka Mizzy i kilku żołniérzy służbowych, i zbliżywszy się do poległego wachmistrza rzekł: »Młodego człowieka tego pochować należy; gniewałby się cesarz, gdyby ujrzał, iż podoficera gwardyi jego w tém miejscu zabito; bo gdyby nieprzyjaciel odebrał nam to stanowisko, na widok munduru tego, sądziłby, że już i gwardyja była w ogniu.« — W chwili gdy to mówił, kula z téj saméj bateryi rzucona, trupem go położyła. Marszałek wsuwał właśnie swój dalowid w kieszenię. Kula zdruzgotała mu lewą rękę, w któréj cugle trzymał, i przebiwszy go na wskróś, grzbiet mu złamała. Zegarek jego, lubo nieuszkodzony stanął, i dotychczas jeszcze wskazuje ostatnią chwilę zgonu marszałka, gdyż od tego czasu już go więcéj nie nakręcano.

Zemsta niewiasty hiszpańskiéj. W Kadyksie dnia 18go października popełniono okropną zbrodnię. Przed kościołem spotkało się niespodzianie dwie kobiet; jedna z nich powzięła ku drugiéj nienawiść wielką, i po krótkiéj sprzeczce dobyła z zanadrza sztyletu. Druga postrzegłszy to, umknęła do kościoła, i żądając obrony, rzuciła się do nóg mszę odprawiającego kapłana. Atoli zaciekła przeciwniczka przybiegła za nią aż do ołtarza i w obec wszystkich sztylet w niéj topiła. Wyobrazić sobie można, jak ten okropny czyn wszystkich obecnych przerazić musiał. Jestto dowód do jakiego stopnia zaciekłość i chciwość zemsty Hiszpanów pobudzić może. Jakoż kapłan przestał natychmiast odprawiać nabożeństwo, i kościół tak długo zamkniętym będzie, dopokąd na podobne przypadki przepisane obrzędy oczyszczenia spełnionémi nie zostaną.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.